

NOWA JUTRZENKA

TYGODNIOWE PISMO OBRAZKOWE
WYCHODZI CO CZWARTEK.

Prenumeratę przyjmuje Redkcja i Administracja „Nowej Jutrzenki“ w Lublinie, ulica Rynek № 2, (II piętro).
Redakcja i Administracja otwarte codziennie (za wyjątkiem świąt) od 10—2 i 5—7.

WARUNKI PRENUMERATY: w Lublinie 8 Kor. rocznie; — 2 Kor. kwartalnie. Za odosłanie do domu 20 hal. miesięcznie;
Z przesyłką pocztową 10 K. rocznie; — 2 Kor. 50 hal. kwartalnie. Numer pojedynczy 20 hal.

Z BOGIEM, PRAWDĄ, DOBREM i NARODEM.

KALENDARZYK.

Dnio	Imiona Świętych i Święta	Słońca		Księżycy	
		Wsch. g. m.	Zach. g. m.	Wsch. g. m.	Zach. g. m.
5 C	† Wielki Czwartek. Winc. Ireny	5 29	6 38	4 45	4 17
6 P	† Wielki Piątek. Celestyna	5 26	6 40	5 57	4 30
7 S	† Wielka Sobota. Hermana	5 24	6 42	7 12	4 44
8 N	Wielkanoc	5 22	6 43	8 28	5 11
9 P	Poniedz. Wielkanocny	5 19	6 45	9 45	5 22
10 W	Ezechiela, Apolonjusza	5 17	6 47	11 0	4 49
11 Ś	Leona P., Filipa B.	5 15	6 49	rano	6 26

Zmiana księżycy Pełnia dnia 7-go o godz. 3-ej po południu.

Przypomnienia robót gospodarskich. Przeciż czerwonce szczepić świnię.

Z historii Polski. Dnia 8-go kwietnia 1390 r. królowa Jadwiga wkracza z polakami do Węgier. Król polski Ludwik był jednocześnie królem węgierskim. Więcej on był królem węgierskim, niż polskim. Dlatego więcej dbał o Węgry, niż o Polskę. Ludwik Węgierski, zostawszy królem polskim, odłączył od Polski Czerwoną Rusz, którą przyłączył do Węgier. Kraj ten dla Polski był bardzo ważny, bo tędy płynął główny handel ze Wschodem. To też król Kazimierz Wielki wiele położył trudów, aby zawładnąć Czerwoną Rusią. A teraz Ludwik łatwo oddzielił ją od Polski dla Węgier. Otóż królowa Jadwiga, żona króla Jagiełły, (zobacz № 7 „Nowej Jutrzenki“) dnia 8 kwietnia 1390 r. wkroczyła na Rusz Czerwoną i otebrała ją Węgom. Cały kraj dobrowolnie poddał się pięknej królowej.

Ks. A. Kozicki.

Wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom „Nowej Jutrzenki“ z okazji Zmartwychwstania Pańskiego życzenia lepszej doli składa

REDAKCJA.

POD RACŁAWICAMI.

„Pókiż damy się ciemzyć,
Dalej braja — do oręza!
Kto chce umrzeć lub zwyiężyć,
Ten prawie zawsze zwycięża!”

Taką pieśnią brzmiała Polska ziemia, kiedy z wiosną roku 1794 gromadziły się oddziały wojska regularnego i liczne gromady ochotników pod rozkazami Tadeusza Kościuszki. Kto żyw śpieszył do szeregu, i szlachcic i mieszczanin i chłop siermiężny, — kto żyw. dążył pod chorągiew tego Naczelnika, co nie koronowany, nie obierany przez posłów na sejmie, jednak władzę ujął najwyższą nad narodem Polskim, dobrowolnie mu przez ten naród oddaną.

— Wolni i równi Polacy — Ojczyzny wrogom nie oddadzą! — powiedział Kościuszko, kiedy na rynku w Krakowie dnia 24 Marca 1794 roku ogłosił wojnę z Rosją i kilka dni zaledwie upłynęło, a pod sztandarem powstania stanęło już 2000 krakusów od pługą i roli i 500 górali polskich.

Plonien zapału ogarnął mury starego Krakowa. Znoszono pieniądze, broń, żywność, ubranie, wszelki zdalny towar kupiecki. Sprzedawano ślubne obrączki, by wzbogacić kasę narodową, kobiety pozbywały się kosztowności. Kościóły nie mogły pomieścić pobożnych, którzy zbierali się tłumnie, by błagać Boga o powodzenie wyprawy wojennej i Jemu powierzyć losy Ojczyzny.

Z kwatery Kościuszkowskiej szły tymczasem dalsze odezwy, rozbiegli się po całej Polsce goncy z rozkazami i do wojska polskiego i litewskiego, do obywateli, do duchowieństwa, do kobiet.

Tydzien zaledwie trwało to wojenne przygotowanie powstania i dnia 1 Kwietnia Naczelnik wyruszył z Krakowa. Nieopodal miasta połączył się z brygadą gen. Madalińskiego i brygadą imienia Walewskiego; ze wsi okolicznych nadbiegli chłopci uzbrojeni w piki i kosy na sztorc

nasadzone, tak że ogółem licząc miała armja Kościuszkowska około 5,600 ludzi.

Wojsko nasze było jaknajlepszej myśli i maszerowało wesolo ku północy, gdzie w Skalmierzu stanął gen. rosyjski Denisow i 6000 regularnego żołnierza i 20 wyborowych, daleko-nośnych dział pod wodzą gen. Tormasowa, wysłał przodem, na spotkanie wojska Kościuszki.

Raźno maszerowały zuchy nasze, zapędu i nadziei pełni. Oddział kosynierów wyglądał prześlicznie. Chłop w chłop, jak dęby, w bielutkich sukmanach i czerwonych krakuskach z kosami, błyszczącymi od promieni słonecznych, postępowali pewnym krokiem, przyspieszając sobie ochoczo:

Dalej chłopcy, dalej żywo!
Otwiera się dla nas żniwo,
Rzućwa cepy, rzućwa radło!
Trza wojować, kiej tak padło!

Posprzedajwa konie z wozem,
A pośpieszwa za obozem,
Posprzedajwa i poduszki,
A przystajwa do Kościuszki!

Albośmy to jacy, tacy
Chłopcy Krakowiacy!
U nas harda dusza
Nie boim się Rusa, Prusa,

Dość nas natyrali
Niemcy i Moskale,
Bie zwa za obuszki,
Pojdźwa do Kościuszki!

(według Wojnara).

Szli też rzeczywiście włościanie z pod Krakowa i przyłączyli się ochotnie do oddziału kosynierów, a na przodzie gromady szedł dzielny

i rosły, jako dębeczak młody, gospodarz Rzędowicki, Wojtek Bartos, w jednej ręce kosę trzymał, a w drugiej prześliczną chorągiew, na której był z jednej strony wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, a z drugiej—sноп zboża, czapka krakusa nad nim wyszyta i napis serdeczną naukę w sobie zawierający:

— Żywią i bronią!

Bo też w istocie te ręce polskiego chłopca, zgrubiałe od znoejnej pracy na zagonie, wypielęgnowały kłosa złote, które „żywią” cały naród. A teraz, gdy przyszło tej Ojczyźnie ukochanej bronić, gdy ją przyszło wyrwać z pod obcej przemocy, te same ręce żyłaste i silne chwytają kosę czy karabin i mężnie, a ochotnie stawiają czoło wrogom.

Czwartego Kwietnia rano wojsko nasze doszło do wioski Raclawice, leżącej o parę mil od Krakowa, i tam obie armie: polska w liczbie 5,600 ludzi i rosyjska licząca przeszło 6 tysięcy i 20 armat zajęły stanowiska wojenne. Kościuszko ustawił swoich na dość wysokim wzgórku, naprzeciw Moskali, rozłożonych za parowem na nieprzystępnej wyżynie, osłoniętej lasem. Niwielką przestrzeń, rozdzielającą dwa wojska, zaległa groźna cisza. Polacy nie mogli atakować pierwsi, ponieważ nieprzyjaciel miał większą siłę i stał na dogodniejszym stanowisku, więc Kościuszko podstępem postanowił wciągnąć Rosjan do walki. Udając, że się cofa, rozstawiał swoich zuchów w szyku bojowym, rozmieszczał kosynierów, ukrywał armaty wśród rozdołów i zarośli.

Tak zeszło do południa.

Nakoniec zniecierpliwil się dowódca rosyjski, gen. Tormasow. Około trzeciej po południu,

KS. ALERSANDER KOZICKI.

5)

Historja Kościoła Polskiego

DLA LUDU

6.

Założenie arcybiskupstwa polskiego.

(Bolesław Chrobry) sławny dzielił tak światem,
Przymijając w Gnieźnie Ottona cesarza,
Dziwi przepychem i skarby drogiemi
Hojnie obdarza”.

„Śpiewy historyczne”

Niemcewicz.

Dotąd na całą Polskę było jedno tylko biskupstwo w Poznaniu. Biskup poznański Unger, Niemiec, podlegał arcybiskupowi niemieckiemu w Magdeburgu.

Niemcy uważali Polskę za kraj niemiecki, Polaków — za swoich niewolników, a króla polskiego za dzierżawcę, czyli lennika, który winien płacić Niemcom haracz i słuchać się Niemców.

Tymczasem nasz król Bolesław Chrobry ciągle myślał nad tem, jakby to najpierw choć biskupstwo polskie uwolnić od Niemców, a potem i kraj polski. Umyślił więc założyć nowe biskupstwa i polskie arcybiskupstwo, od którego zależeliby inni biskupi polscy i już nie odnosiliby się w różnych sprawach do niemieckiego arcybiskupstwa w Magdeburgu, ale polskiego w Gnieźnie, a ten wprost do samego papieża.

Papież pono dawno na to zezwolił, ale że to się Niemcom nie podobało, więc tak schodziło. Aż zaszedł wypadek, który dopomógł Bolesławowi w tej sprawie.

Wiadomo już nam, że święty Wojciech był umęczony w Prusach. A święty Wojciech był kiedyś spowiednikiem cesarza niemieckiego Ottona III. Otton, dowiedziawszy się o męczeństwie świętego Wojciecha, postanowił odwiedzić jego grób w Gnieźnie i uczcić świętego męża.

Nasz król, Bolesław Chrobry chciał się pokazać nie byle jakim królem, ale postanowił zadziwić Niemców, jak to wielce jest bogatym i mocnym. Zgromadził tedy niezliczone tłumy wojska, przybrał ich odświętnie w złoto, srebro,

Rosjanie zasłonięci gęsto porastającą krzewiną, poczęli spuszczać się z wyżyny trzema kolumnami, a jednocześnie ryknęły dwunastofuntowe działa rosyjskie.

Zacząła się bitwa i rychło przybrała zły obrot dla Moskali. Rozdzieleni wawozem, nie mogli porozumiewać się ze sobą dość szybko, a na czele jazdy polskiej rwali się ku niej generałowie Zajacek i Madaliński i trzykroć odparci, ze zdwojonym powracali męstwem.

Kościuszko ze słowami zachęty przebiegał swoje szeregi pełen otuchy i nadziei, a około godziny 6ej, kiedy ukazał się gen. Denisow z trzecią, najsilniejszą kolumną, podjechał do kosynierów i zawołał:

— Chłopcy! zabrać mi te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!

Zabłyły w Kwietniowem słońcu kosy krakowskich chłopów.

— Wiwat nasz Naczelnik! — zagrział okrzyk z 2000 piersi i jak się zrywa huragan, tak się zerwali kosynierzy i popędzili z całych sił, a Kościuszko na ich czele rzucił się w sam środek armji nieprzyjacielskiej. Ryknęły armaty rosyjskie, zadźwięczały kule po kosach, kilku wojaków osunęło się na ziemię, ale reszta sunie naprzód z całą gwałtownością. Słychać okrzyki:

— Najświętsza Matko! ratuj nas od nagłej śmierci!

— Bartku! Szymku! Maćku! A dalej! —

Kosynierzy wśród gradu kul dosięgają baterji nieprzyjacielskiej. Gospodarz rządowicki, Wojciech Bartos, wpada pierwszy na baterję i czapką krakuską przykrywa zapal armaty, do której artylerzysta przykladał właśnie ogień.

Komu Pan Bóg błogostawi, temu się i wiedzie,
Idzie sobie Stach Świstacki, a Głowacki jedzie.
Jedzie, jedzie na armacie, na smoku mosiężnym,
Czapka wiewa, a lud śpiewa głosem tak potężnym:

Bartoszu, Bartoszu!
Hej! nie traćwa nadziei!
Bóg pobłogostawił
Ojczyznę nam zbawi!

Zaledwie dwa razy zdążył nieprzyjaciel zionąć deszczem ognistym, a już nieustraszeni kosynierzy wpadają gwałtownie na karki wroga. Oprócz wojska Bartosa, bardzo dzielnie się w tej walce odznaczyli Stach Świstacki, Krzysztof Dębowski i Gwiżdżicki.

Parów zapełnił się trupami. Śmierć wionęła w rosyjskich szeregach. Kiejby kosiarze na łące z trawą, tak się uwinęli kosynierzy z Moskalami.

Rosjanie początkowo dzielnie się trzymali, długi czas rozlegały się gwałtowne uderzenia mieczy o miecze, bagnatów o bagnety, w końcu jednak, po pięciogodzinnej morderczej walce, 12 armat rosyjskich przeszło w ręce naszych; pole bitwy zostało przy Polakach.

Kosynierzy -- bohaterzy wracali do Kościuszki. Oblicza dzielnych naszych wojaków były opromienione radością i dumą z odniesionego zwycięstwa. Pot wszystkim sływał z czola, bo też się napracowali rzetelnie. Zachód słońca ozłocił krwawe pobojowisko, a w ogniu jego błyskała zaczerwieniona stal kos raclawickich. Łagodny wietrzyk małym powiewem chłodził strudzone oblicza.

O zmroku obóz polski wrzał radością i okrzykami. Kościuszko przejeżdżał się po bojowisku i patrzył z dumą i miłością na swych

stal i miedz, tak że od słońca oświecone ogniem gorzały te nieprzeliczone gromady wojska polskiego, które wyszły były na spotkanie cesarza. Tak król Bolesław przywitał cesarza Ottona na granicy Polski i od granicy uroczyście go prowadził do Gnieźna.

Kiedy już nadjechali na dwie mile nad Gnieźno, cesarz Otton, że to był bogobojny pan, zsiadł z konia, zdjął buty i bosy na piechotę poszedł, a i nasz król Bolesław tak samo uczynił. Chcąc jednak godnie uczcić cesarza, kazał Bolesław całą drogę wysłać drogiem sukniem czerwonym aż do samej katedry gnieźnieńskiej, gdzie spoczywały zwłoki świętego Wojciecha.

Po długich modlitwach, odprawionych przy grobie świętego męczennika, Bolesław zaprosił Ottona do dworu, przybranego w srebrne materje, na ucztę. Na ogromnych stołach stały złociste i srebrne misy i kubki. A co jadła było przeróżnego, a picia wszelakiego! Dosyć było wszystkiego, czego dusza zapragnęła. Tak przez trzy dni gościł Bolesław Chrobry cesarza niemieckiego i jego dworzan, a po każdej uczcie kazał Niemcom zabierać złote i srebrne naczynia na pamiątkę, że gościli się u króla polskiego.

Aż trzeciego dnia cesarz Otton III, wielce rozochocony, zdjął ze swojej głowy koronę i włożył Bolesławowi Chrobremu na głowę, koronując go na króla, i nazwał go swoim najlepszym przyjacielem. Wiadomo, że w takich razach człek jest zawsze ochoczy do przyjaźnielstwa, ale, jak nam powiadają dzieje, niemiecki cesarz później nie pozwolił papieżowi potwierdzić naszego Bolesława na króla polskiego, aż Bolesław wreszcie sam kazał się koronować swoim biskupem na króla w dwadzieścia pięć lat potem.

Tymczasem jednak cesarz niemiecki dał jeszcze Bolesławowi władzę stanowienia nowych w Polsce biskupstw, na co już dawniej pozwolił papież. Bolesław wnet założył trzy nowe biskupstwa: w Krakowie, we Wrocławiu (na Śląsku) i w Kołobrzegu (dla Pomorza), i arcybiskupstwa w Gnieźnie, któremu podlegać musiały te nowe biskupstwa, bo biskup poznański, Niemiec Unger, nie chciał od Niemców się odłączyć aż do śmierci.

Pierwszym arcybiskupem został brat świętego Wojciecha, Radym, przewany Gaudentym. A było to roku tysięcznego (1000 r.)

(d. c. n.)

dzielnych wiarusów. W imieniu Ojczyzny dziękował żołnierzom za okazane męstwo, kosynierom za zdobyte armaty, a kończąc zawołał:

-- Wiwat naród! — Wiwat wolność! —

— Wiwat Kościuszkę! — odpowiedziała mu wiara, wyrzucając czapki w górę. A Naczelnik wywoławszy z szeregu przed front wojska Wojciecha Bartosa z Rzędowic, jako tego, co pierwszy wpadł między moskiewskie armaty, uściślił go serdecznie, zamianował chorążym krakowskich grenadierów i nadał godność szlachecką z nazwiskiem Głowackiego.

Dobosze uderzyli w bębny, wokoło rozległ się z tysiąca piersi radosny okrzyk:

— Niech żyje Bartosz Głowacki! Niech żyje Kościuszkę! — a tymczasem adjutant Naczelnika przypiął Bartoszowi do chłopskiej sukmany oficerskie szlify.

Następnie wywołał Kościuszkę jeszcze Świstackiego, Dębowskiego i Gwiżdżickiego i nagradzał ich za waleczność. Okrzykom: Wiwat wolność! Wiwat Kościuszkę! — nie było końca.

Kościuszkę nosił dotychczas mundur generała kawalerzysty, teraz, po zwycięstwie pod Raclawicami, wobec zwycięskich szeregów, zdjął go z siebie, a przywdział chłopską sukmanę, w której odtąd prawie zawsze chodził. Chciał przez to okazać, że lud należy szanować i uważać za równy innym stanom i należy mu przyznać te same prawa, co inni mają, kiedy w potrzebie potrafi przelewać krew za wolność i niepodległość Polski.

Wiść o zwycięstwie pod Raclawicami rozeszła się po całym kraju i napełniła wszystkie prawe serca otuchą w lepszą przyszłość,

— Konieczną jest rzeczą, pisał nasz wielki Naczelnik w zakończeniu raportu swego — aby lud czuł, że bijąc się przeciwko nieprzyjacielowi powszechnemu, znajduje w tem polepszenie losu swego: że stan jego nierównie będzie szczęśliwszy w uratowanej z niewoli Polsce, aniżeli, gdy w niej obcy przewodzić będą.

Tak to działo się w Ojczyźnie naszej przed 123-ma laty dnia 4 Kwietnia 1794 roku, a chociaż powstanie Kościuszkę upadło jak wówczas, tak i dziś.

Tam w górę, tam w górę
Poglądajmy do Boga
Większa miłość Jego,
Niż zawziętość wroga!

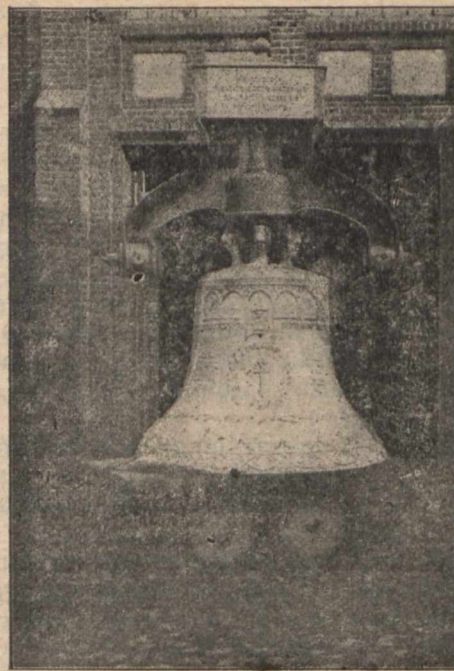
Lublin 1917.

Marja Janina.

NADZIEJA.

Trzymaj ten sznur, choć fala nad głową szaleje;
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję.

A. Mickiewicz.



Wielkanocne dzwony.

*Cyt .. Czy znana ci muzyka
Co przez pola płynie?
Ponad morzem mgły pomyka,
Strząsa łezki na leszczynie,
A świt wstaje zadziwiony:
To — świąteczne dzwony!*

*A czy znane ci to granie,
Co się w piersiach budzi?
Jakieś słodkie kołysanie, —
Zda się nagle w łonie ludzi
Biją serca na wsze strony,
Jak huczące dzwony...*

*Słuchaj, słuchaj dzwonu bicia,
Co huczy rozgłośnie
I nad wszystkie troski życia
Niesie pieśń o nowej wiosnie,
Aż duch wstaje umocniony —
Cyt!.. Wielkanocne dzwony!*

bez żadnej przerwy noc całą... Pochwalił się przyjacieli przed palaczem i nawet mu przepowiedział, mówiąc: „mnie się zdaje, że i ty niebawem zarzucisz palenie”...

Palacz uśmiechnął się niedowierzająco. Upłynęło sporo czasu i sprawdziła się przepowiednia przyjaciela, bo przyszła kolej na palacza. I on zaczął uskarżać się na bóle serca, niepokój, brak apetytu i noce bezsenne... Udał się po radę, ale do innego doktora, nie do tego, który leczył jego przyjaciela. Wszelakoż i ten doktor odrazu oświadczył: „trzeba rzucić palenie”. Zdanie doktora natychmiast *podziało skutecznie*. Palacz w tej chwili wróciwszy od doktora do domu, wszystkie cygara i fajkę z tytoniem wyrzucił. Przestał palić i odzyskał zdrowie. Dopiero własne doświadczenie, nasunęło mu myśli mocne, rozkazujące... Teraz już ów palacz nałogowy ma taki układ myśli, iż ani przez chwilę nie wątpi o prawdziwości ostrzegania przed szkodliwością tytoniu.

Jednak ów dawny palacz teraz zastanawia się nad sposobami przekonywania innych o szkodliwości palenia... Co zrobić, żeby przekonać każdego? Czy mówić tylko rozumnie? Zapewne tak, ale to jeszcze nie wystarczy. Czyż każdy musi wpraw sam na sobie doświadczyć prawdziwości ostrzeżenia? Nie zawsze. Co więc należy uczynić?

Oto przedewszystkiem trzeba chcieć *myśleć* prawidłowo, porządnie, ale *celowo*... To znaczy, trzeba niejako nakazać sobie: „muszę to poznać, zbadać do gruntu!” Benjamin Franklin, mędrzec i dobry obywatel amerykański, opowiada o sobie w swoim *Pamiętniku*, że taki właśnie miał zwyczaj, zanim cośkolwiek ważniejszego przedsięwziął. Czynił to w ten sposób: spisywał na jednej połowie karty zdania *za*, a na drugiej połowie zdania *przeciwko* zamiarowi. O ile więcej było zdań słusznych *za*, o tyle już bez wahania przywoził zamiar do skutku, a jeśli więcej było zdań *przeciwko* zamiarowi, — natychmiast go porzucał stanowczo, nieodwołalnie. Rozumie się, Franklin tylko w pierwszych latach młodości spisywał *za* i *przeciw* zdania, żeby nabrać wprawę w myśleniu porządnem i celowem, bo potem z biegiem lat nabył takiej wprawę w myśleniu, że już bez spisywania na karcie, potrafił tylko zadumać się dłużej, a już dostatecznie rozważył nowy zamiar i prawie nigdy nie omylił się, jakie uczynić postanowienie.

Józef Płomyk.

*Nauką i pieniędzmi drudzcy cię wzbogacą, —
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.*

A. Mickiewicz.

Dobroczynny wynalazek.

— Nie chcę! Nie zgadzam się, bo cóż będę wart bez nogi!...

— Nie pozwolę sobie odjąć ręki!...

— Wolę umrzeć, niż być kaleką przez całe życie!...

Ileż to protestów podobnej treści obito się o mury sal operacyjnych?

Niejednen z żołnierzy, który z nieustraszoną odwagą szedł w bój, nie bacząc czy zginie, czy padnie — zadrzał, kiedy mu lekarz oświadczył, że trzeba amputować rękę lub nogę. Nie przerażał go ból i cierpienia podczas operacji, lecz lękiem napełniała go myśl, że zostanie kaleką, niezdolnym do pracy. Naprawdę lekarz przekładał i tłumaczył, że amputacja jest konieczną — ranny nie chciał się na nią zgodzić, protestował. W podobnych wypadkach skutkowało dopiero przykład, który naocznie przekonywał, że bez ręki, czy bez nogi można pracować. Przykładem tym są ludzie ze sztucznymi członkami.

W Wiedniu przedstawiano w podobnych razach żołnierzom 30-letniego mężczyznę. Na pozór nie różnił się niczem od zdrowego człowieka. Chodzi i wykonuje rękami każdą pracę.

— Oto człowiek bez rąk i nóg — przecież nie jest kaleką, bo pracuje i zarabia na utrzymanie — tłumaczono tym, którzy protestowali przeciw amputacji. Ranni przyglądali mu się ciekawie i nie chcieli wierzyć — dopiero kiedy mężczyzna rozebrał się i kiedy zobaczyli, że ma sztuczne nogi i ręce, uwierzyli i dali się przekonać. Chirurg wiedeński, prof. dr. Eiselberg, stwierdził w publicznym odczytaniu, że człowiek ów jest prawdziwym błogosławieństwem dla rannych żołnierzy, którzy muszą poddać się amputacji, bo wykazuje im, że nawet po utracie rąk i nóg można posiadać zdolność do pracy.

W fabryce w Królewcu stoi przy tokarni ślusarskiej człowiek bez rąk i nóg, który wali młotem, piluje żelazo, wykonuje każdą robotę na tokarni — a dokonuje tego dzięki swojej żelaznej woli i energii przy pomocy sztucznych członków.

Sztuczne członki nie są bynajmniej wynalazkiem ostatnich czasów. Już grecki historyk, Herodot (484 r. przed Chrystusem), wspomina o nich, a Pilniusz opowiada, że w drugiej wojnie punickiej walczył Marcus Sergius, który miał żelazną rękę. Bohater niemiecki, Götze von Berlichingen, wslawił się także swoją sztuczną żelazną ręką, która, jak sam mówił — oddawała mu w boju wielkie usługi. Miecz, który tak bardzo dał się we znaki jego wrogom, dzierżył podczas walki w sztucznej ręce.

Inny znowu wojownik niemiecki, książę Fryderyk z Hamburga, miał srebrną nogę, przy pomocy której z łatwością dosiadał konia.

W Paryżu wslawił się znowu za czasów Ludwika XIV pewien inwalida bez rąk, który przez długi czas uprawiał „rzemiosło” włamywacza. Władze nie mogły wpaść długo na ślad sprawcy zuchwałych włamań i kradzieży, nikt

bowiem nie przypuszczał, aby mógł dokonywać tego człowiek bez rąk. Przyłapano go wreszcie na gorącym uczynku i wówczas stwierdzono, że sporządził on sobie sam sztuczną rękę i przy jej pomocy władał tak sprawnie świdrem, dłu-tem i wytrychem, że otwierał wszystkie zamki, za co skazano go na dożywotnie więzienie. Do końca życia pracował jako ślusarz w warsztatach więziennych.

W wojnie rosyjsko-tureckiej walczył major rosyjski, Vlakowicz, który jeździł konno, mimo, że miał tylko jedną nogę, drugą stracił bowiem pod Sewastopolem.

Kierownik kliniki chirurgicznej na uniwersytecie w Jenie, prof. dr. Riedl, przy pomocy sztucznej ręki wykonuje każdą pracę, a nawet, jak sam opowiadał, odbywa wycieczki w górach i poluje.

Podobnych przykładów jest wiele i będzie coraz więcej.

W obecnej wojnie tysiące żołnierzy utraciło ręce, lub nogi. Rządy wszystkich państw wojujących, stowarzyszenia humanitarne i szlachetni ludzie starają się usilnie, aby inwalidom zapewnić możliwość pracy i zarobkowania na utrzymanie. W tym celu powstają specjalne szkoły, w których inwalidzi przysposabiają się do nowych zawodów, lub uczą się wykonywać dawną pracę jedną ręką.

Szkoły te są wielkim dobrodziejstwem dla inwalidów. W ciągu nauki poznają „uczniowie” nowe warunki i środki pracy oraz nowe sposoby zarobkowania — przekonują się, iż mimo utraty ręki czy nogi nie będą ciężarem rodziny czy społeczeństwa — nabierają pewności, że sami dadzą sobie radę w życiu i ze spokojem spoglądają w przyszłość.

Oczywistą jest rzeczą, że wielką pomocą w tym kierunku będą sztuczne członki, które w części, nieraz w znacznej mierze, a w pewnych wypadkach zupełnie mogą zastąpić utratę rąk czy nog. Sztuczne ręce i nogi (protezy) udoskonalono już do tego stopnia, że kaleka zaopatrzoney w nie na pierwszy rzut oka, z wyglądu, nie zdradza nawet swego kalectwa.

Taką protezą jest „ręka Carnesa”.

Amerykański mechanik nazwiskiem, Carnes, utracił w roku 1902 prawą rękę aż po łokieć. Wskutek tego kalectwa musiał przewycięzać dużo trudności i ostatecznie potrzeba uczyniła go wynalazcą.

Z czasem doszedł do rozwiązania problemu samodzielnej ręki sztucznej. „Ręką Carnesa” można wykonywać nietylko ruchy najprostsze, ale całe kompleksy ruchów złożonych, które przenoszą się z ramienia na sztuczną rękę. Można ją otwierać i zamykać, zginać i wyprężyć, a przede wszystkim wykonywać ruch obrotowy.

„Ręka Carnesa” zaleca się przytem przez swój estetyczny wygląd, we wszelkich bowiem poruszeniach do złudzenia naśladuje funkcje normalnej ręki.

Zapomocą tej sztucznej ręki można wykonywać czynności, wymagające współdziałania obu rąk: można zatem np. zapalać zapalki, ot-

wierać parasol, jeść nożem i widelcem — można nawet nosić ciężkie pakunki bez obawy, aby one wypadły z ręki... W chwili bowiem, kiedy ręka obciążona zwisa, mechanizm zamyka się i przestaje działać.

Jedyną „wadą” „ręki Carnesa” jest cena, za którą można ją nabyć, bo kosztuje 1000—1250 koron—ale i ta „wada” zostanie usunięta, bo w Niemczech poczyniono przygotowania, aby protezy konstrukcyi Carnesa wyrabiać we własnych fabrykach.

Wynalazcy pracują niestrudzenie, aby przez nowe przyrządy i maszyny dostosowane do zmienionych warunków udogodnić i ułatwić pracę inwalidom — zarówno w przemyśle jak rzemiośle i w biurach.

Ostatnim wynalazkiem w tym kierunku jest maszyna do pisania dla jednoręcznych.

Konstrukcyja maszyny do pisania dla jednoręcznych jest zupełnie inna niż dotychczasowych maszyn. Nowością są pedały. Przy ich pomocy można w części wykonywać tę czynność, którą przy dotychczasowych maszynach uskutecznia się drugą ręką. Litery alfabetu i znaki pisarskie nie są ułożone jak dotąd na wzór klawiatury, lecz półkolisto na różnym poziomie i to w ten sposób, że na maszynie można pisać nawet sztuczną ręką.

Wszystkie jednak maszyny i przyrządy, wszystkie wynalazki, oddane na usługi inwalidów, pośredniczą tylko w pracy, udostępniają ją i ułatwiają — trudności pokona żelazna siła woli. Ci, którzy mimo kalectwa idą przez życie bez cudzej pomocy, zapewniają sobie byt własną pracą — to prawdziwi bohaterzy.

N O W I N Y.

Dziesięciolecie. Dnia 11 marca upłynęło lat dziesięć, jak powstało w Królestwie Centralne Towarzystwo Rolnicze, mianowicie 11 marca 1907 roku zebrało się 118 delegatów od poszczególnych gubernialnych Towarzystw Rolniczych i oni po porozumieniu wzajemnem uchwalili utworzyć niejako Związek wszystkich poszczególnych Towarzystw pod nazwą: „Centralnego Towarzystwa Rolniczego”, Biuro tego związku narazie mieściło się w mieszkaniu wynajmowanym, a obecnie już posiada swój dom w Warszawie umyślnie na ten cel zbudowany, bardzo wysoki i okazały. W tym domu znajdują się wszystkie biura Centralnego Towarzystwa Rolniczego, a tych biur, czyli wydziałów jest dużo. Jest tam także wydział Kolek Rolniczych dla popierania gospodarstw włościańskich.

Z okazji dziesięciolecia Centralne Towarzystwo Rolnicze zamierza wydać książkę objaśniającą działalność tej instytucyi w ciągu tego czasu. Z pewnością dużo pomocy C. T. R. podało wielkim i małym rolnikom. Ale chyba szczególnie wiele zawdzięczają Centralnemu Towarzy-

Na Zmartwychwstanie Pańskie.

*Alleluja! niech opłynie
Hymn radosny ziemię całą;
Wszystkie serca, jak świątynie,
Niechaj zabrzmiały Bożą chwałą.*

*Bo wesoly dzień nam świta:
Pocieszenie wszelkiej duszy,
Z grobu — życia kwiat wykwiata
I śmierć berło swoje kruszy.*

*Odkupienie! Zmartwychwstanie!
O niebieska błoga wieść!
O nasz Zbawco! o nasz Panie!
Alleluja! pokłon, cześć!*

Antoni Pietkiewicz.



Stanisław Żółkiewski.

Za tę wiarę i posłuszeństwo nagradzał go P. Bóg nieraz nawet cudami. I tak, gdy podczas wojny moskiewskiej nieprzyjacielskich 500 najlepszych strzelców zdradziecko strzeliło do Żółkiewskiego, a nawet z armat zaczęły doń z bliska strzelać, i kule jak muchy brzęczały koło niego, to jednak żadna kula nie tknęła nawet skraju szat jego. Wszystko wojsko i sam król patrzył na to z daleka — i odtąd zaczęli wszyscy uważać Żółkiewskiego za świętego człowieka, którego Pan Bóg cudownie nawet od niebezpieczeństwa śmierci wybawia.

Innym razem (pod Kluszynem) na rozkaz róllewski, mając tylko 6 tysięcy wojska, musiał iść na nieprzyjaciela, liczącego 48.000. Moskale wówczas już się cieszyli ze zwycięstwa. Żółkiewski zaczął wedle zwyczaju od P. Boga. „Więc kapłani dają błogosławieństwo — jak opisuje naczynny świadek — każe następować na nieprzyjaciela, a bacząc zgóry, jak drugi Jozue ręce do góry trzymając, po wszystkim czas o zwycięstwo prosi. Nadziej żadnej, jedno w samej łasce Najwyższego”. Żółkiewski co chwila wyciąga z zanadru relikwie krzyża św., i niemi błogosławi wojsko, skoro widzi, że nieprzyjaciel zaczyna brać górę. To też nic dziwnego, że nim słońce zaszło, już wojsko polskie zanuciło hymn dziękczynny P. Bogu za zwycięstwo. I tu znowu widać było pokorę Żółkiewskiego. Oto sam, chociaż wiekowy już człowiek i dowódca, a jednak nawet powóz dla siebie przeznaczony odstępuje dla chorych, byle im było wygodniej, a i z tak znakomitego zwycięstwa też się nie chwali. „Zdarzył Bóg z miłosierdzia swego — pisze do króla — że dzielność i męstwo wojska przemożło nieprzyjaciela”. O sobie nic nie wspomina, jakby to nie on kierował bitwą, i nie dla jego

cnót P. Bóg nadarzył zwycięstwo. W wojnie tej wziął on całą rodzinę W. Książęcą w niewolę i ogromne kraje przyłączył do Polski.

Jaka nagroda spotkała za to Żółkiewskiego? Król ozdobił go zaszczytami, ludzie — czarną niewdzięcznością. Oskarżyli go, że on dlatego wojnę prowadzi, by pieniądze dane na wojsko zabierać dla siebie!

Zapewne większej krzywdy nie mógł mu nikt wyrządzić, jak zarzucając kradzież temu człowiekowi, który za własne pieniądze utrzymywał wojsko dla obrony kraju. Ale to już tak nieraz bywa na świecie, że ci, co innym dobrze czynią, odbierają najczarniejszą niewdzięczność. Król był przekonany o jego niewinności, ale mimo to i Żółkiewski musiał sam stanąć przed sądem, jakby jaki prosty człowiek, i spokojnie wyjaśnić prawdę... „Zawzdyd to uczynił — mówi Żółkiewski — żem dawał liczbę powinności mojej W. K. Mości, jednak radziej to w sejmie uczynię, i to nie jako senator siedząc, ale jako sługa stojąc wedle dawnych obyczajów W.K.M. raczysz wiedzieć z listów i pism, jako się to działo... i tu wyluszcza całą sprawę po prawdzie, a kończy temi słowy: „Dawałem ja zawsze wiadomość o sobie, i W. K. M. zasięgałem rady, a wołałem rozkazaniem W. K. M. się sprawować, niż zdaniem swoim, mało bowiem rozumu mego. A wiem, że przy W. K. M. Anioł Boży, jako to onegdaj kapłan wywiódł, jako to serce W.K.M. w rękach Bożych. Miałem zawsze w powinnem poszanowaniu rozkazanie W. K. M. i błogosławił mi Pan Bóg”.

To publiczne powołanie się wobec całego sądu na świadectwo Boże, gdy każdy widział, że P. Bóg rzeczywiście we wszystkim mu błogosławił, to musiało przekonać każdego, że jest niewinnym. Uwolniono go więc od wszelkich podejrzeń.

Nie trzeba jednak myśleć, żeby hetman tego nie odczuł głęboko. Jeszcze parę dni przed

śmiercią, w ostatnim swym liście do króla, pisał o tem: „Ale mimo to jeonak po chrześcijańsku swym prześladowcom nietylko przebaczam, ale nowe ofiary dla nich poniose”. Człowiek takiej wiary jak musiał kochać P. Boga! Dla niego nietylko majątku, ale i krwi nie będzie żałował. „Tego sobie życzę, abym mógł zdrowiem swem zastąpić niebezpieczeństwa ojczyzny, a położyć żywota z pogany dla wiary świętej chrześcijańskiej”. Owszem, pragnie on gorąco takiej śmierci, i „dla wiary, co daj Panie Boże, umrzeć za największą sobie pociechę pokładam i życzę”. Tegoż szczęścia i dla syna swego pragnie. „Dla wiary krwi rozlać i żywota położyć nie żałuj”. Abyś też i umarł przytem, nic osobliwszego spotkać cię nie może. I poganie mówili, że śmierć dla ojczyzny słodka jest: może jeszcze i dla wiary św., jeżeli trafi się okazja czynienia przeciwko Turkom, Tatarom. Mówię do ciebie słowy Ps. 26: „Mężnie sobie poczynaj, a będzie wzmocnione serce twoje”. Takim umysłem położyć żywot i u ludzi sławno i u P. Boga — co jest największa — odpłatno”.

„Co się tyczy pogrzebu ciała mego — rozporządza w testamencie — przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich bez pogrzebu zostają. Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć króla Władysława, co u Warty zginął, niżli wielu innych, na których nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle wolej i obiecania Bożego. Życzę sobie pewnie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej i Ojczyzny, ale nie wiem, jeśli tej łaski od P. Boga godzien. Jakożkolwiek P. Bog przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pogrzebany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez onych koni, widowisk. Jednak, jeśli bym w bitwie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna będzie przykryta szkarlatem, na znak wylania krwi. A to nie dla chwały żadnej, lecz dla pamiętki i dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla Ojczyzny!”

Rodzina Żółkiewskich, jak wiele rodzin naszych podówczas, była rozsadnikiem cnot wszelkich, skąd dobry przykład chrześcijańskiego życia rozchodził się po całym kraju. Rodzina szerzyła zgodę, poważnionych jednała, była hamulcem złego, nakazując swym dzieciom i krewnym, by swem życiem nie przynosili wstydu rodzinie, ale postępowali cnotliwie, jak ich ojcowie i dziadowie.

Ale dodać musimy, że dla Żółkiewskiego nie wystarczało złego nie robić: on starał się nadto na każdym kroku jak najwięcej czynić innym dobrego.

I tak np. cóż łatwiejszego takiemu panu, jak wyrządzić komu chociażby bezwiednie jaką krzywdę; ale nawet tego niema u Żółkiewskiego. „Ja nie prawuję się z nikim”. Nie dość na tem. Skoro się tylko dowiedział, że gdzie wybuchnął jakiś spór, tam zaraz zjawił się Żółkiewski, i godził poważnione strony. Żółkiewski wtedy zjeżdżał na miejsce, a każdy musiał się poddać poważnemu starcowi, bo on, wysłuchawszy sprawy stron obu, tak zawsze umiał przemówić, że nie można się było oprzeć urokowi jego cno-

ty sprawiedliwości, a nie ustąpił prędzej, póki poważnieni nie podali sobie rąk do zgody. Wskutek tego nie nazywano go inaczej, jak „aniołem pokoju”, a sława jego i powaga była tak wielką, że nawet wielcy przestępcy i zdrajcy, jeśli tylko okazywali chęć poprawy, mogli liczyć napewno, że Żółkiewski pomoże im do poprawy życia, i uzyska win odpuszczenie. — (d. c. n.)

DO MŁODYCH.

Bierze ochota napisać, że kto nie umie myśleć, — nie może być dobrym. Jestto zdanie słuszne, ale wymaga objaśnienia. Bo przecież, wiadomo, niejedem ma dużo myśli w głowie i o niejednym ludzie powiadają: „ten ci ma *leb* tęgi, nigdy mu nie zbraknie myśli potrzebnych”... A jednak iluż znamy tak zwanych *lebskich* ludzi, którzy, choć mają myśli obfitość, — pędzą żywot bardzo niecnotliwy! Więc chyba nie zawsze myśli potrafią skłonić do dobrego?

Otóż musimy dodać bardzo ważną uwagę, że myśli tylko o tyle stają się nam coraz pożyteczniejsze i pomocniejsze, o ile potrafimy je snuć w swej głowie coraz lepiej podług prawidłowego porządku, zgadzającego się z prawdziwemi wydarzeniami w życiu codziennem.. Każdy z nas ma możność sam w sobie sprawdzać zjawienie się myśli nowej. I wtedy żałujemy nieraz, mówiąc do siebie: jaka to szkoda, że te myśli przyszły mi do głowy dopiero teraz, czemu nie wcześniej? byłbym wiedział, co uczynić, jak się zachować, żeby uniknąć złego... Sami przeto przyznajemy własnym myślom, że są dobre, że skutecznie pomocne być mogą, byle zjawily się w porze właściwej i prawidłowym porządku...

Naprzykład, palacz sam nie wie kiedy i w jaki sposób wpadł w nałóg palenia. Nie raz jeden i nie tysiąc razy słyszał i czytał o szkodliwości tytoniu. Owszem, nawet sam zastanawiał się nad tem, jednak zazwyczaj zdawało mu się, że w tych ostrzeżeniach więcej jest strachu, niż prawdy, bo przecież tyle ludzi pali i to ludzi światłych, uczonych, rozumnych... więc chyba nie może być palenie tak niebezpiecznie, jak ludzie bają...

Ale myśli same coraz wracają, korzystając z każdej sposobności, żeby przecież znaleźć jakiś dowód najmocniej przekonywujący, że jednak naprawdę palenie szkodzi. Wreszcie nadeszła taka sposobność. Najprzód przyjaciel palacza zaczął coś słabować. Był u doktora i właśnie sam doktor doradził mu, żeby przestał palić, bo do jego niezdrovia dużo przyczynia się tytoń... I dopiero pod nakazem doktora — przyjaciel, acz niechętnie, zarzucił palenie. Jednak wnet się przekonał przyjaciel, że doktor trafnie odgadł przyczynę niedomagania, bo gdy zarzucił palenie, wprędce zaczął wracać do zdrowia, odzyskał apetyt, lepszy humor i już spać może spokojnie

że go nic nie bolało — bo spał. Uśpili go doktorzy. Mnie głaskał po głowie, matkę pocieszał, że choć kaleka — ale, jak wyzdrowieje, da sobie radę na świecie. Potym przyszedł dziedzic, przyniósł ojcu wina i opowiadał, że teraz są na świecie takie nogi drewniane na sprężynach, co same chodzą, jak żywe — i obiecywał, że ojcu niezawodnie taką kupi.

Nie kupił jednak, choć chciał szczerze, tak bardzo lubił mego ojca...

Zdaje mi się, że coś przez dwa dni było trochę różniej i spokojniej w domu. Matka co wieczór modliła się gorąco i mnie kazała Boga prosić o zdrowie dla ojca; miała jakąś nadzieję. Ale trzeciego dnia zrobiło się gorzej — posłali zaraz po doktora. Doktor przyjechał i powiedział matce, że wszystko przepadło.. Coś złego przyplątało się, ojciec stracił przytomność. Posłali po księdza, a w nocy matka przybiegła do mnie, zaczęła mnie całować i, płacząc okropnie, powtarzała tylko:

— Oj, sieroto moja, sieroto!

Choć byłem mały, wiedziałem, co znaczy sierota, i zmiarkowałem, że już nie mam ojca.

Na trzeci dzień potem byliśmy w kościele — ojciec leżał na katafalku, w czasnej trumnie; matka płakała strasznie, a ja ukląknęłam przed ołtarzem i spoglądałam na obraz, na którym wymalowany był jakiś święty z długą białą brodą.

Idąc za trumną ojca do kościoła, pytałem ludzi, dlaczego ojciec mój umarł? dlaczego urzędnili mu nogę? dlaczego kazali mu iść na wojnę i bić ludzi, których w życiu swym nigdy nie widział, ale nie odpowiedzieli na moje pytanie, nie wytłumaczyli mi, nie rozwiązali, a może nie chcieli rozwiązać tej zagadki...

Każdy z nich spojrzał tylko na mnie z politowaniem i odrzekł machnąwszy ręką:

— Głupi jesteś mój mały.

Tylko, kiedy klęcząc w kościele przed ołtarzem, wpatrzyłem się w obraz, to zdawało mi się, że ów poważny święty z białą brodą, spojrzał na mnie litośnie i szepnął:

— Biedny jesteś!...

Biedny! naprawdę biedny byłem od tej pory.

(d. c. n.)

Klemens Junosza.

Błogosławiona myśl komasacji.

W szachownicy.

Chociaż w krótkości postanowiłem przedstawić rezultaty gospodarki w szachownicy i po skomasowaniu, z własnych doświadczeń. Może te kilka słów odniosą skutek i pociągną naszych sąsiadów do tak ważnej rzeczy, jaką jest komasacja.

Ojciec mój posiadał gospodarke czterdziestokilkomorgową, rozrzuconą w 130 miejscach, i nie tylko w tej wiosce w której mieszkał, ale i w sąsiednich. Gospodarstwo na tych zagonach było, jak zwykle, trzypolowe; więc jedna trze-

cia wyżej wspomnianych morgów corocznie była nieużyteczną, t. j. był ugór czarny, na którym pasał się nędzny inwentarz — krowy z wydajnością jednej kwarty mleka dziennie, wartości, podług obecnych cen, najwyżej 20 rb. A gdy taka krowa się zużyła, to z cielęciami doczekać się krowy, trzeba było czekać lat cztery; prędzej coś podobnego nigdy się nie zdarzało. Ale i ten przychówek był trudny, bo nigdy owo cielę nie miało tego co potrzeba, ani w lecie, ani w zimie.

Po owym ugorze szła ozimina. Wysiew corocznie dochodził do 14 korcy, a zbiór do 20 fur, z jednej fury otrzymywało się najwięcej korcy 3, co razem uczyniło korcy 60. Do siewu poszło korcy 14, dla siebie na utrzymanie całoroczne korcy 25, sprzedane bywało 6 do 10 korcy, a resztę konie zjadały. Pole II — jarzyna; owsa wysiewano korcy 8, zbioru bywało fur 6, trochę konie zjadały, to jeżeli się omlóciło korcy 15 — był plon dobry. Ziemiaków sadzono korcy 25, zbiór wahał się około korcy 100. Z tego powodu, że chociaż obrodziły, to jak poszły woły i konie na nie w miesiącu sierpniu, a każdy woł i koń był specjalistą w kopaniu, to na zagonach czubatych cały środek był wykopany, tak że połowę całego zbioru inwentarz przedwcześnie wybrał. Dalej troszkę siewano gryki, z małymi rezultatami, seradeli i grochu; po wysiewie pół korca, to czasami plonu bywało też tyle, a to z tego powodu, że na zagonie jeżeli nie mszyce przed żniwami, to dziecię po żniwach objadły, tak że nigdy nic nie było. Po obliczeniu i zestawieniu niezbędnych korcy zboża dla swego użytku bardzo mało można było sprzedać, tak że ze zboża dochód był mały.

Z inwentarza również, bo nie było czem, ani na czem paść, z gospodarstwa domowego też wiele nie było; słowem przychód był marny; gdy obliczyłem przychód z r. 1904, to rezultat był następujący: — ze sprzedaży ziemiopłodów rb. 68, z inwentarza żywego rb. 50, z gospodarstwa domowego rb. 80, co razem uczyniło rb. 198. Z tego, gdy się wydało na potrzeby niezbędne domowe, kilkanaście rubli na ubranie dla paru osób, również kowalowi i innym rzemieślnikom, podatki, procenta, to trzeba było czasem i pożyczyc. A co o kupnie jakich narzędzi rolniczych to i nie można było nawet marzyć, tak że w każdym roku nic nie przybywało tylko dług. Gdy rzuciłem myślą w przyszłość, to nasza gospodarka pomimo usilnej pracy i kalkulacji dłużej istnieć jak lat 10 nie mogła, a po upływie tego czasu, to trzeba było młodym ruszyć za chlebem chyba na Saksy, a dla starych nie pozostało się nic więcej, jak torba i kij żebraczy. I bezwarunkowo tak byłoby, gdyby nie *błogosławiona myśl komasacji.*

(dokończ. nastąpi)

W. Trentowski.

Z kółka „Mazur” w Zmiejewie,
gub. płocka.

Wiadomości polityczne.

Uznanie To jest godne uwagi, że ambasadorowie, czyli urzędowi przedstawiciele Anglii, Francji, Włoch i Stanów Zjednoczonych przy rządzie rosyjskim w Petersburgu, udali się razem do Milukowa, jako nowego rządu ministra spraw zagranicznych i jednogłośnie oświadczyli, że ich rządy już dały im upoważnienie do zapewnienia, że uznają nowy porządek w Rosji, dokonany przez rewolucję. Zapewnie słusznie tu można zauważyć pośpiech, który świadczy, że rządowi koalicyjnym nie obojętne są przewroty, spełnione przez rewolucję, że owszem, państwa koalicyjne wolą ten nowy rząd, niż dawny, carski. Dawnemu rządowi koalicja nie ufała, a temu nowemu ufa i popierać go będzie. A przeto odmiana w Rosji spełniła się z wiedzą i z pomocą koalicji.

Sprawa polska w Rosji. Gdybyśmy zadali sobie pytanie takie: co Rosja myśli o Polsce? musielibyśmy naraz dać kilka bardzo odmiennych odpowiedzi. Bo przecież w narodzie rosyjskim istnieje kilka wielkich stronnictw i każde z nich po swojemu chciałoby sprawę polską rozwiązać. Tak zwani prawicowcy, nacjonalisci, czyli narodowcy, pańslawisci chcą jedynie Rosję uczynić potężną, wielką, ogarniającą wszystkie narody słowiańskie. Zatem podług ich życzenia Polska powinna należeć do Rosji i w niej pomału rozpuścić się, jak sól w wodzie. Inne partje, tak zwane konstytucyjne demokratyczne, wolnościowe, dążą do ograniczenia władzy cara i jego urzędników, do zaprowadzenia konstytucji, parlamentu i ministrów zależnych od narodu. Ale i ci pragną nade wszystko wielkości i chwały Rosji; nie chcą nawet myśleć o tem, żeby Rosja utraciła te krainy, które do niej długo należały, a więc i Polska i Finlandja, podług nich, powinny zostawać pod władzą i opieką Rosji. Dopiero obecnie nowa władza rewolucyjna zaczyna coś inaczej wyrażać się o Polsce, jakoby chce, ażeby Polska stała się niepodległą, niezależną od Rosji. Już nawet utworzyła się w Petersburgu osobna komisja do rozważania sprawy polskiej, a w tej komisji uczestniczy Aleksander Lednicki, polak, obrońca nienależności Polski. Jednak chyba niepodobna dziś jeszcze coś podobnego oświadczyć, bo dzisiejszy rząd w Rosji jest tylko tymczasowy. Jeżeli rewolucja zwycięży, — utworzy się konstytucja, zwołany zostanie sejm, na czele Rosji stanie rząd wybrany przez większość wyborców. Jaka to będzie większość, dziś jeszcze trudno powiedzieć, a więc dlatego niepodobna orzec jakie zdanie o Polsce weźmie górę w Rosji.

Wiadomości wojenne.

Berlin. Rząd wojenny niemiecki rozgłosił, że już od 24 Marca zostały niemieckimi łodziami podwodnymi i pływającymi minami zamknięte obszary Oceanu Północnego Lodowatego. Tak więc od tego dnia żaden okręt na tych wodach nie będzie bezpieczny. Niejaki wyjątki uczyniono dla wodnej drogi norweskiej, a po za tem każdy okręt spotkany dozna klęski niechybnej. Ten nakaz ma na widoku zamknięcie drogi dla okrętów amerykańskich, które zechciałyby wozić państwu koalicyjnym naboje i inne materiały wojenne z Ameryki.

Front zachodni. Na północ od Arras odparto kilka ataków angielskich oddziałów wywiadowczych skierowanych przeciw naszemu stanowiskom. Gwałtowne wywiady Anglików i Francuzów na północny wschód od Bapaume i na zachód od St. Quenin miały dla nieprzyjaciela przebieg pełen strat. Koło Noreuil odprawiono przeszło 300 Anglików do niewoli; dostali się oni jednak w ogień angielskich karabinów maszynowych, tak że tylko 60 dostało się do naszych linii. W walce powietrznej utracił nieprzyjaciel 4 samoloty.

Front wschodni. W południowej Bukowinie przyprowadziły nasze czołowe oddziały z okopów rosyjskich po zburzeniu umocnień nieprzyjacielskich. 2 oficerów, 200 szeregowców i 1 kulomiot. We wschodniej Galicji i na Wołyniu potyczki przedpolowe i wielka działalność naszych lotników

DZIENNIK LUBELSKI

pismo codzienne wieczorowe, poświęcone sprawom społecznym i politycznym przy współudziale wybitnych sił publicystycznych.

CENY PRENUMERATY:

W LUBLINIE BEZ ODNOSZENIA:
miesięcznie 1.40, — kwartalnie 4 koron, —
półrocznie 8 koron, — rocznie 16 koron.

Z ODNOSZENIEM:
miesięcznie 1.80, — kwartalnie 5.40, —
półrocznie 10.80, — rocznie 21.60.

NA PROWINCJI:
miesięcznie 2.60, — kwartalnie 7.60, —
półrocznie 15 kor., — rocznie 30 koron.

Cena ogłoszeń: za wiersz drobnem pismem 70 hal.